

Graham Masterton

## STWORZENIE BELINDY

Uniósł powoli ramię jak sprinter na kronice filmowej Movietone z tysiąc  
dziewięćset  
trzydziestego szóstego roku, kiedy przerywał taśmę po pobiciu rekordu w biegu na  
sto  
jardów. Kelner serwujący wina natychmiast dostrzegł w tym gościu pewność siebie.  
Puścił  
mimo uszu słowa: „Czy moglibyśmy prosić dwa razy pina colade?”, które  
wypowiedział  
mężczyzna o białej, łysej głowie pokrytej łuszczącą się skórą, ubrany w żółtą  
hawajską  
koszulę, i ruszył w poprzek tarasu, żeby przyjąć jego zamówienie.  
— Perrier et jouet, belle epoque, rose — powiedział mężczyzna.  
Kelner zmarszczył brwi i zajrzał do karty win. Pokręcił głową.  
— Och, nie sprzedajemy go na kieliszki, proszę pana.  
— Nie proszę o kieliszek. Chcę zamówić butelkę. I dwa kieliszki.  
— Oczywiście, proszę pana. Dwa kieliszki? Czy mogę zobaczyć pańską kartę  
hotelową?  
Przyniesienie szampana, a następnie celebrowanie otwierania go zabrały kelnerowi  
dziesięć  
minut. Zazwyczaj Bryan nie lubił takich ceregieli, ale tego dnia rozparł się na  
krześle i  
pozwolił odstawić ten cały cyrk. Ostatecznie był to szampan marki Perrier Jouet  
Belle Epoque  
w przepięknie stylizowanej na art-nouveau butelce. Jegośmiałość w żółtej hawajskiej  
koszuli  
spoglądał na nich podejrzliwie.  
Bryana spotkało przed laty drobne, ale dotkliwe upokorzenie.  
To wystarczyło, żeby obrzydzić mu wszelkie przedstawienia przy otwieraniu win.  
Kiedyś  
w towarzystwie bardzo szykownej młodej damy powąchał korek od chianti — korek od  
chianti — a ona wybuchnęła tylko perlismym, szyderyczym śmiechem. Równie boleśnie  
przekonał się, że głupio jest zamawiać jakiegokolwiek potrawy serwowane z płonącym  
spirytusem, kawę z pływającą na jej powierzchni śmietanką czy wsunąć  
kierownikowi sali  
dziesięć funtów w nadziei, że ten wskaże dobry stolik.  
Obecnie motto Bryana brzmiało: „Nie dawać skurwysynom najmniejszej okazji do  
śmiechu”.  
Pracował w drukarni. Od blisko dziewięciu lat w imieniu firmy Johnson & Foreman  
rozprowadzał druki i sprzedawał usługi w zakresie druku kolorowego. W tym czasie  
przebył  
setki tysięcy kilometrów. Deszcz, pogoda, kąpieliska nadmorskie, prowincjonalne  
miasteczka,  
odległe fabryki. Hotelowe klitki, kwieciste tapety, parówki na śniadanie. Nie  
pamiętał już, w  
ilu hotelowych restauracjach bywał, a oglądy towarzyskiej nabrał w sposób bardzo  
bolesny.

Jego rodzice piątkowe kolacje jedli prosto ze zwiniętego w trąbkę Daily Minor, spacerując po ulicach. Do dzisiaj paliły go policzki, kiedy o tym myślał. Ale nauczył się zachowywać z rezerwą, nabrał wewnętrznej dyscypliny i twardości. Poznał również prawdę, iż nie należy udawać, że jest się bardziej wyrafinowanym, niż się jest w rzeczywistości. A to dlatego, że zawsze znajdzie się ktoś jeszcze bardziej wyrafinowany i za pomocą jednego słowa może zrobić z człowieka głupka. Nie tylko może, ale zrobi na pewno. Tak więc, choć Bryan sam utorował sobie drogę, pogardzał ludźmi, którzy do wszystkiego doszli o własnych siłach. (Ileż żon jego kontrahentów — odzianych w przesadnie obcisłe, lśniące stroje wieczorowe, oszołomionych wypitym po południu ginem — gładziło go podczas kolacji pod stołem po udach?) Od Newcastle do Plymouth, och, Boże; od Bradford do Bishop's Stortford. Czego tak łaknęły? Bo nie seksu. Były zbyt zawiane, by uprawiać seks. Może rzeczywistego świata? Ale ten wieczór był inny. Tego wieczoru Bryan świętował najbardziej korzystny finansowo kontrakt, jaki kiedykolwiek wynegocjował; świętował tutaj, na tarasie koktajlowym hotelu L'Horizon wychodzącym na gładkie, metalicznie połyskujące piaski St Brelade's Bay na Jersey. Tego wieczoru mógł się trochę pokazać. Na krótko przed lunchem w ciągu zaledwie dwóch i pół godziny podpisał kontrakt na druk kolorowej broszury wart dwa miliony trzysta tysięcy funtów; dwie i pół godziny w niewielkim, niczym nie wyróżniającym się biurze w St Helier, pełnym zakurzonej juki, maleńkich pomieszczeń z przepierzeniami z płyt październowych obwieszonych folderami podróżnymi. I to tyle. Dobili targu, parafowali umowę. Wszyscy zadowoleni. Pan Shah uściśnął mu dłoń. On uściśnął dłoń pana Aziza. Bardzo dobrze, wspaniale, robić z panem interesy to czysta przyjemność. Cacy-rączka-rączka, wszystkiego najlepszego, wam również. Z tarasu hotelu L'Horizon na samą plażę prowadziło piętnaście kamiennych stopni. W oddali, tam gdzie lśniło morze, posuwały się ostatnie rowery wodne — skomplikowane pajęczce konstrukcje stapiające się w jedno z sylwetkami smukłych dziewcząt. W powietrzu unosił się słaby zapach smażonej ryby i frytek dolatujący z jednej z plażowych kafejek, a okrzyki dzieci, które zostały jeszcze na plaży, były równie smutne jak krzyk

odległych mew.

Wcześniej tego dnia, kiedy słońce stało jeszcze wysoko, Bryan obserwował opalające się obok promenady dziewczyny w strojach topless. Ich piersi miały barwę karmelu.

Teraz

dziewczyn już nie było, ale Bryan poprosił o dwa kieliszki ze względu na trzydziestoletnią

kobietę o pięknej twarzy i przepysznych blond włosach siedzącą dwa stoliki dalej. Miała na

sobie trzymający się na zawiązanych na szyi ramiączkach stanik, który uwypuklał jej ciężkie

piersi, i jaskrawe bermudy. Studiowała krzyżówkę w Daily Telegraph, co bardzo się

Bryanowi spodobało. Inteligentna, ale najwyraźniej samotna.

Wstał szurając krzesłem. Podeszedł do kobiety i stanął nad nią. Zębami przybrudzonymi

szminką przygryzała końcówkę długopisu.

Miał właśnie otworzyć usta i zapytać, czy nie ma ochoty razem z nim uczcić jego sukcesu,

kiedy ona odezwała się pierwsza:

— „Tam się oszczędza”. Na cztery litery.

— Słucham?

Uniosła twarz. Dostrzegł swoje odbicie w jej przeciwsłonecznych okularach.

Chudy,

niezbyt wysoki mężczyzna o oczach osadzonych głęboko, prawie jak u Rosjanina, i o

czarnych, dobrze ostrzyżonych włosach. Cokolwiek za chudy i za niski, żeby wydać się

naprawdę ujmującym. Jego spodnie były zbyt bezkształtne, by prowokować, i zbyt obcisłe, by

uznać je za modne.

— „Bank” — powiedziała i wpisała słowo do krzyżówki. — Dziękuję.

Próbował się roześmiać.

— Nie sądzę, żebym okazał się szczególnie pomocny. Przestała pisać i zdjęła ciemne

okulary.

— Wręcz przeciwnie, bardzo mi pan pomógł. Zawsze mi pomaga, jeśli kogoś głośno zapytam.

— Tak? To świetnie. Mogę pani służyć tak długo, jak pani zechce.

Na chwilę zapadło milczenie, ale on nie odchodził. W końcu znów podniosła na niego

wzrok.

— Czy pan czegoś potrzebuje?

— Tak — odparł i umilkł. — Tak — dodał. — Zrobiłem dziś cholernie dobry interes i

dostanę cholernie dobrą prowizję. Zamówiłem butelkę perrier jouet rose, a nie cierpię pić

samotnie. Zastanawiałem się właśnie, czy nie zechciałaby mi pani towarzyszyć.

Spoglądała na niego bez zmrużenia oka. Miała źrenice w drobniutkie plamki; nie było w

nich śladu współczucia.

— Nie sądzę — odparła.

— Ale ja nie chcę pić sam.

Znów nawet okiem nie mrugnęła.

— Przykro mi, ale naprawdę mnie to nie interesuje. Niech więc pan sam nie pije.

W

każdym razie ze mną na pewno nie będzie pan pił.

— No tak — westchnął i próbował się uśmiechnąć. Nikt dotąd w tak obcesowy sposób  
go

nie splotał. — No cóż... Wygląda na to, że będę musiał poszukać sobie kogoś  
innego.

Nawet nie odpowiedziała. To oczywiste, że na tym pustym tarasie nie było nikogo  
innego.

Chyba że zdecydowałby się na grubą Francuzkę w rozpaczliwie niebieskiej  
sukience,

siedzącą z rozkraczonymi nogami, albo na małżeństwo sprawiające wrażenie  
malaryków.

Oboje musieli mieć ponad dziewięćdziesiątkę i zapewne trzymali się razem, żeby  
się tak

bardzo nie trząść.

— W porządku zatem — powiedział pod adresem całego tarasu. — Spadamy stąd.

Wyjął z lodu wytworną butelkę rżniętą w kwiatowy wzór, sięgnął po kieliszek i  
zszedł z

tarasu na plażę. Z kieliszkiem w jednej ręce, z butelką szampana w drugiej, z  
piaskiem w

białych mokasynach firmy Alan McAfee doznał do linii wody i stanął z twarzą  
zwróconą na

południe, do morza, do słońca, do Francji i wznosił toast na cześć samego  
siebie.

— Dobra—robota—Bryan—jesteś—pieprzony—geniusz. Amen.

Odwrócił się, by spojrzeć na deptak i na hotelowy taras. W tej właśnie chwili do  
trzydziestoletniej blondynki w różowym staniku dołączył siwowłosy mężczyzna w  
olbrzymich szortach i okularach w grubej oprawie.

— Spadaj — powiedział ponownie.

Siwowłosy był mniej więcej w jego wieku, trzydzieści siedem lat, albo trochę  
młodszy.

Zasługiwał na kobietę, która nie potrafiła rozwiązać krzyżówki z Daily Telegraph  
bez

zaczepiania obcych mężczyzn. Zapewne rozwiązuje krzyżówki, kiedy ten ją pieprzy.

— „Wielkie działa potrzebne do opuszczenia miasta”. Na dziewięć liter.

Nadchodziła noc, malując niebo niczym atrament. Choć było prawie bezwietrznie,  
morze

szumiało i burzyło się. Wędrując między skałami, które ograniczały zatokę St  
Brelade's,

Bryan czuł się tak, jakby wrócił do dzieciństwa, do jakiejś nadmorskiej krainy  
Ruperta Beara

lub Tigera Tima, gdzie zawsze była masa krabów, rozgwiazd i zamków z piasku o  
wieżach

udekorowanych chorągiewkami. Szedł nad samą wodą. Od czasu do czasu jego warte  
dwieście dziesięć funtów buty zalewała piana. Ale kto by dbał o taki drobiazg?

On tej nocy  
świętował.

Kiedy dotarł do skał po wschodniej stronie zatoki, zapadł już zmierzch. Wzgórza  
i

okoliczne dachy rozświetlał jeszcze fiołkoworóżowy blask, ale na plaży było  
zimno, wilgotno

i zupełnie ciemno. Pociągnął perrier jouet prosto z butelki.

Szampan zabuzował mu w ustach tak mocno, że Bryan prawie się zakrztusił.

Miał właśnie zamiar zawrócić do L'Horizon, kiedy tuż przy skałach ujrzał szybki  
błysk

światła. Popatrzył w mrok, mając nadzieję, że nie jest to jeszcze pijacki zwid.

Do jego uszu

dotarło szuranie; jakby coś odłupywano. Po chwili ponownie dostrzegł błysk.

Ruszył w tamtą stronę. Prosto na twarz padł mu promień światła.

Czekał, ale kiedy nic się nie wydarzyło i nikt nie odezwał się słowem, wzniosł  
butelkę

perrier jouet.

— Może byśmy tak sobie łyknęli? — zapytał.

Ktoś pociągnął nosem, a następnie rozległ się męski głos z silnym akcentem z  
Jersey:

— Dobra, nie mam nic przeciwko temu.

Bryan wyciągnął butelkę w ciemność. Odgłosy pociągania z flaszki. Po chwili  
butelka

wróciła.

— Co to, jabłecznik?

— Szampan. Najlepszy. Świętuję.

— Ach, tak?

— Zawarłem dzisiaj umowę na druk na sumę dwa przecinek trzy miliona funtów.

— Ach, tak? To chyba dobrze, prawda?

Bryan roześmiał się. Śmiech głucho rozniósł się wśród skał.

— Dobrze? To graniczy z cudem.

— Och — powiedział męski głos. — Zatem przyszedł pan we właściwe miejsce.

Bryan pociągnął kolejny łyk szampana, zawahał się, po czym podał butelkę.

— Co ma pan na myśli? — zapytał.

— No cóż... właśnie tutaj, w Zatoce St Brelade's, po zapadnięciu zmroku... tutaj  
zdarzają

się cuda.

— Chyba tak.

Nieoczekiwanie człowiek z plaży skierował latarkę na swoją twarz. Światło padło  
od dołu

tak, że jego oblicze przypominało upiorną, prymitywną, wrytą w orzechu  
kokosowym

maskę. Mężczyzna o szczupłej twarzy, drapieżnie szczupłej, nie golonym od kilku  
dni

zaroście i przekrwionych oczach.

— Wcale nie „chyba”. Widział pan kiedykolwiek coś takiego?

Kłęcząc wsunął latarkę między kolana opięte ubrudzonymi piaskiem sztruksowymi  
spodniami i skierował światło na piach. Zręcznie uformował dłońmi kształt

niewielkiego

kraba, paznokciami zaznaczył szczypce, a kciukiem pancierz.

Zaledwie skończył robić z piasku kraba, ten jakby drgnął. Bryan patrzył osłupiały i przerażony, jak stworzenie oderwało się od podłoża, z którego zostało stworzone, i szybko popęzło w stronę wody.

— Zrobił pan kraba — powiedział, czując, że serce obija mu się o żebra. — Do licha, w jaki sposób? Zrobił pan kraba, a on naprawdę ożył.

Mężczyzna roześmiał się — był to zgrzytliwy, chlupiący dźwięk, jakby dobywał się ze zlewu, po czym powiedział:

— To piasek po tej stronie St Brelade's Bay. Wieść głosi, że powstał z rozdrobnionych na miał przez fale kości żeglarzy, których statki rozbiły się o skały. Można w to uwierzyć, kiedy się zobaczy, jaki jest biały, prawda? I proszę popatrzeć, jak czerwone są te skały! Zostały zbrukane krwią. Ten piasek to materia życia! Cząsteczki życia!

Nieznajomy podniósł się z ziemi. Bryan czuł w jego oddechu zapach alkoholu, jakkolwiek w swoich ustach nawet nie miał jego smaku.

Mężczyzna podszedł bardzo blisko.

— Cokolwiek zrobisz z tego piasku, młody człowieku, zaczyna żyć. Rób zawsze po zmroku, a to będzie twoje aż do rana. Żywe, oddychające... Cokolwiek chcesz. To piasek żeglarzy. Piasek marynarzy z rozbitych statków.

Bryan długo spoglądał na niego w milczeniu.

— Mógłby to pan zrobić jeszcze raz? — zapytał.

— Co?

— Niech pan zrobi jeszcze jednego. Proszę.

— Ale najpierw muszę sobie łyknąć.

Bryan podał mu butelkę. Obcy wytarł szyjkę i pociągnął solidny łyk.

— Ach, cóż za ohydztwo. Sama piana. Jakbym pił po kąpieli wodę z wanny.

— Niech pan zrobi następnego kraba — powiedział z uporem Bryan.

Nieznajomy ukląkł na piasku.

— Jakiego pan chce, dużego, małego?

— Dużego.

— Jak dużego?

— Bardzo dużego. Takiego jak pan.

Mężczyzna zaczął formować i klepywać piach w wielką kopułę, a następnie ukształtował monstrialne szczypce.

— Nie chcę robić zbyt wielkiego — zaznaczył. — Nie chcę robić tak cholernie wielkiego, żebyśmy musieli przed nim uciekać.

Wybuchnął śmiechem, zakaszłał i splunął w ciemność.

Bryan bacznie obserwował, jak mężczyzna kończy cyzelować brzegi skorupy półmetrowej szerokości piaskowego kraba. Największy skorupiak, jakiego widział w życiu, w migotliwym,

ruchomym świetle latarki wyglądał okropnie i bardzo niebezpiecznie. Ale jak mógł ożyć?

Przecież został zrobiony z piasku i był tak śmiesznie wielki, że nie mógł udawać prawdziwego... Bryan podejrzewał, że tak właśnie było za pierwszym razem. Krab zapewne

siedział od początku zagrzebany w piasku i musiał tylko szybko przebić się na powierzchnię.

Mężczyzna skończył swoje dzieło. Wstał, otrzepał dłonie.

— Proszę — powiedział.

— Ale on wcale nie ożywa.

— Niech mu pan da trochę czasu. Im większy, tym dłużej to trwa.

Stali obok kraba przez prawie dziesięć minut i popijali z butelki pianę

kapielową perrier

jouet. W końcu odezwał się Bryan.

— Robi pan ze mnie balona. To wcale nie ożyje.

Mężczyzna zakaszłał. W tej samej chwili olbrzymi krab drgnął, wyciągnął szczypce i

zaczął dźwigać się z piasku.

— O, cholera! — mruknął Bryan, odskakując z przestraszeniem.

Wpadł na stojącego obok mężczyznę, wypuścił z ręki butelkę szampana.

Obaj przezornie cofnęli się o kilka kroków, żeby stanąć poza zasięgiem

szczypiec. Stwór

przez kilka chwil tkwił nieruchomo. Tylko jego paciorkowate oczy poruszały się na

szypułkach.

— Jak pan myśli, czy on jest niebezpieczny? — zapytał szeptem Bryan.

Twórca kraba potrząsnął głową.

— Prawdopodobnie nie. Po prostu węższy, gdzie jest morze.

Miał rację. Krab ustalał kierunek marszu. Po chwili zaczął powoli pełznąć w stronę, z

której dobiegał dźwięk uderzających o brzeg fal. Bryan oświetlał go latarką, aż w końcu krab,

przeszedłszy plażę, zniknął w mroku.

— Cholera — mruknął Bryan.

Rozejrzał się. Mężczyzna już odszedł i klucząc między skałkami zmierzał ku esplanadzie,

gdzie na letnim niebie od czasu do czasu pojawiały się błyskawice jakiejś bardzo odległej

burzy.

— Pańska latarka! — zawołał Bryan i ruszył spieszenie jego śladem.

Ale zatrzymał się przy wiodących na esplanadę schodach i popatrzył na skały i piasek,

który mężczyzna określił mianem piasku żeglarzy, materii życia.

Przez cały następny dzień chodził zamyślony. Śniadanie złożone z rogalików, marmolady i

mocnej czarnej kawy zjadł w klubie w hotelu L'Horizon. Od strony basenu dobiegała go

wrzawa dziecięcych głosów. W nocy śniły mu się kraby, setki krabów poruszających się w

mroku. Później przyśniła mu się kobieta rozwiązująca krzyżówkę w Daily

Telegraph. Opalała się nago, miała ogolone łono, lepki i różowy srom, z którego wychodziły pszczoły, otrząsały skrzydełka i odlatywały prosto w słońce. Patrzyła na niego, uśmiechała się i zmysłowo oblizywała usta. Zatelefonował do Rogera Herberta, dyrektora handlowego w Nowym Jorku, i oświadczył, że nie czuje się najlepiej, więc zostanie jeszcze jeden dzień na Jersey. Roger był wyraźnie poirytowany, ale niewiele mógł zrobić. — Może coś zjadłeś? — zapytał. — Musisz bardzo uważać na skorupiaki. Moja matka o mało nie umarła na trądzik różowaty. Bryan kupił w L'Horizon podkoszulek i obszerne spodenki joggingowe i ruszył na spacer po plaży. Tego ranka dzieci budowały zamki i drogi z tego samego piasku, z którego nieznajomy stworzył olbrzymiego skorupiaka. Bryan uklęknął obok skał i wstydząc się sam przed sobą, najbardziej realistycznie jak potrafił, zrobił malutkiego kraba. Starannie uklepał twardy, wilgotny piasek. Później usiadł i obserwował dzieło przez blisko dwadzieścia minut, lecz stworek nawet nie drgnął. Naturalnie, przecież tamten człowiek uprzedził go, że piasek wraca do życia wyłącznie w nocy, ale i w dzień było warto spróbować. Resztę dnia poświęcił na zwiedzanie. Zobaczył ociekające wilgocią, pobielone wapnem korytarze królikami, gdzie hitlerowcy w czasie wojny urządzili podziemny szpital. Później zabłąkał się między wykonane z roślin i gipsu tandetne pomniki, które zwano tu Ogrodami Wszystkich Krain. Panował nieznośny upał, więc powędrował na północne wybrzeże Jersey, wszedł na przybrzeżne urwiska i patrzył w morze. Daleko w dole, na plaży, ujrzał małego teriera łążącego po piasku w tę i we w tę, takiego samego, jakiego podarował mu wujek, kiedy Bryan był jeszcze dzieckiem. To podsunęło mu pomysł. Wydawało się, że noc nadciąga tego dnia bardzo niechętnie. Bryan zabrał ze sobą na plażę kilka puszek piwa, usiadł na skałce i czekał. W końcu wszystkie rowery wodne dobiły do mola, ostatnia dziewczyna w stroju topless wyszła z wody, dzierząc deskę surfingową. Była to blondynka o olbrzymim biuście, której towarzyszył ostrzyżony najeża młodzieniec sprawiający wrażenie, że udusi każdego, kto tylko spojrzy na jego dziewczynę.



Później zapadł zmrok i Bryan został na plaży sam, sam na piasku żeglarzy, z latarką nieznajomego i niebieską, plastikową łopatką, którą kupił w sklepie z upominkami. Wetknął latarkę w załom skalny w ten sposób, żeby widzieć, co robi. Następnie uklęknął na piasku i zaczął kopać. Prawie kwadrans zajęło mu uformowanie małego teriera z postawionymi uszami, siedzącego przed nim grzecznie na tylnych łapach. Ostrożnie patykiem odlizaka zaznaczył sierść, a następnie wyrzeźbił wielkie, ujmujące oczy. Kiedy skończył pracę, wstał i zaczął podziwiać swoje dzieło.

Otworzył następną puszkę tennenta, stanął obok psa i obserwował go. Wiejący od morza wiatr był wilgotny i ciepły; bardziej jak niespokojny sen niż jak wiatr. Bryan popatrzył na zegarek. Dopiero dziesięć po dziesiątej. Zastanawiał się, czy zeszłej nocy tak bardzo się upił.

Może sobie tylko wyobraził mężczyznę i kraba. Różowy szampan zawsze sprawiał, że Bryan trochę po nim wariował — znacznie bardziej niż po tennencie czy carlsberg special brew.

Czekał godzinę, ale nic się nie wydarzyło. Terier ciągle pozostawał terierem z piasku. W końcu, zniechęcony i głodny Bryan opuścił skały i wrócił do hotelu. Poszedł do swego pokoju, przebrał się w granatową kurtkę i szare spodnie. Zanim wybrał się do baru, wyszedł jeszcze na balkon popatrzeć na ciemną plażę. Zagwizdał, najpierw cicho, później trochę głośniej.

— Chodź tutaj, piesku! Chodź tutaj, piesku!

Morze szumiało, rzędy żarówek kołysały się w lekkich podmuchach wiatru. Zamknął drzwi balkonowe i zszedł do baru, żeby sprawdzić, czy zachował jeszcze talent do towarzyskich pogawędek.

Trochę po drugiej w nocy coś go obudziło. Otworzył oczy i zaczął bacznie nasłuchiwać.

To nie był szum morza, nie był to stukot szarpanej wiatrem markizy na balkonie. To było skrobanie.

Usiadł na łóżku. I znów to usłyszał. Skrob, skrob, skrob do drzwi jego sypialni. Wstał i podszedł do nich ubrany jedynie w spodnie od pidzamy.

Skrob, skrob, skrob i ciche skomlenie.

Otworzył z zimną mieszaniną radości i lęku... i oto miał go przed sobą. Terier z piasku, ciągle w kolorze piaskowym, ale żywy. Siedział na tylnych łapach i prosił. Bryan uklęknął na korytarzu i ostrożnie pogłaskał mały psi łeb. Zwierzę zaczęło skakać, machać ogonem i próbowało lizać jego dłonie.

— Jesteś prawdziwy — szepnął Bryan. — Zrobiłem cię, a ty ożyłeś.  
Czuł się przedziwnie. Trzeźwo i obco. Ogarnęło go nieprawdopodobne uniesienie.  
— Piesku — mówił do teriera. — Tu, piesku, chodź do mnie.  
Wziął zwierzaka na ręce i przytulił do siebie. Pies ogonem smagał go po klatce piersiowej.  
— Jesteś cudowny — powiedział Bryan. — Jesteś cudowny. Jak mam cię nazwać? I jak cię zabiorę z wyspy? Jesteś zdumiewający!  
Zamierzał właśnie wrócić do pokoju, kiedy na końcu korytarza pojawił się nocny portier.  
— Proszę pana! — zawołał.  
Bryan pogłodził psa po głowie.  
— Dziękuję, wszystko w porządku — odparł.  
— Przepraszam, ale tu nie wolno trzymać psów.  
— Och... nie wiedziałem. Bardzo przepraszam. Ale on jest taki mały i bardzo dobrze ułożony.  
Na nocnym portierze te słowa nie wywarły najmniejszego wrażenia.  
— Przykro mi. Ale takie są przepisy. Żadnych psów, nawet najlepiej ułożonych.  
— Cóż więc mam z nim zrobić? Przecież nie mogę go wyrzucić.  
— Mamy na dole boks dla psów. Obok przechowalni bagażu. Zabiorę go tam na noc, ale jutro musi pan znaleźć jakieś inne rozwiązanie.  
— W porządku — zgodził się Bryan, wręczając portierowi małego pieska. — Proszę zadbać, żeby dostał coś do jedzenia.  
Portier przesłał mu urzędowy uśmiech.  
— Mam nadzieję, że w grill-barze zostały jakieś hamburgery.  
Powiedziawszy to, zabrał psa i odszedł. Bryan zamknął za sobą drzwi pokoju i pomyślał:  
Mam psa. Naprawdę mam psa. Zrobiłem go z piasku, a on ożył i odnalazł mnie.  
Włączył nocną lampkę, otworzył barek i wyjął piwo. I co z tego, że była druga w nocy?  
Taka okazja wymagała drinka!  
Stał obok łóżka. Pił z puszki lodowato zimne piwo, a jego wzrok zabłądził na leżący na stoliku egzemplarz Men Only. Uśmiechała się do niego blondynka z szeroko rozłożonymi udami i z piersiami jeszcze większymi, niż miała tamta dziewczyna na plaży.  
Łyknął piwa.  
Nie mógł oderwać wzroku od fotografii.  
Wczesnym rankiem zszedł do portierni, żeby odebrać pieska.  
— Przyszedłem po psa — oświadczył portierowi o włosach koloru piasku.  
— Słucham?  
— Nocny portier wziął mego psa i umieścił go w boksie obok przechowalni bagażu.  
— Ach, tak. Proszę chwilę poczekać.  
Portier zniknął, po czym wrócił. Miał zaczerwienioną twarz.  
— Przykro mi, ale tam nie ma pańskiego psa.  
— Może ktoś go wypuścił?  
Portier potrząsnął głową.  
— Przechowalnia była przez całą noc zamknięta. Tak jest zawsze.  
— Czy mógłbym sam sprawdzić? — zapytał Bryan.  
Obszedł kontuar i wszedł do przechowalni. W odległym końcu pomieszczenia

znajdował  
się pomalowany na zielono boks dla psów z drzwiami z drucianej siatki,  
zamkniętymi na  
zahaczoną o gwóźdź pętelkę. Bryan uklęknął i zajrzał do klatki.  
— Sam pan widzi — odezwał się portier. — Nie ma tam żadnego psa.  
Ale na podłodze boks leżał kawałek nie dojedzonego hamburgera, a w przeciwnym  
końcu  
znajdował się niewielki kopczyk suchego, białego piasku. Terier był w tej klatce  
i wcale nie  
uciekł. Wyglądało na to, że piasek żeglarzy potrafi żyć i oddychać tylko nocą.  
„To będzie  
twoje aż do rana” — oświadczył mężczyzna z plaży.  
— Czy mam go poszukać? — zapytał portier. — Mogę spytać mego nocnego zmiennika,  
jeśli jeszcze nie poszedł spać.  
Bryan potrząsnął głową.  
— Nie, nie trzeba. Chyba wiem, co się stało.  
Cały dzień spędził w łóżku, oglądając dziewczynę w Men Only. Belinda ze  
Staffordshire,  
lubi wioślarstwo. Wioślarstwo? Można się z tym pogodzić. Niebywale pociągająca.  
Miała  
twarz księżniczki i ciało striptizerki. Delikatne policzki, wyzywające  
niebieskie oczy.  
Jeśli stworzy z piasku pochodzącą ze Staffordshire Belinę, będzie prawdziwa i  
będzie  
należała do niego. Nie do jakiegoś wojowniczego buhajka z plaży ani do  
biznesmena w  
średnim wieku noszącego okulary w grubej oprawce. Do niego. Przynajmniej przez  
jedną  
noc... Rano zniknie, a on nie będzie miał żadnych zobowiązań. Zmiecie tylko  
piasek, którego  
użyje do jej stworzenia.  
Przez cały dzień nie opuścił hotelu. Poszedł tylko do sauny, popływał i  
potrenował. Dzień  
ciągnął się w nieskończoność, a po południu słońce najwyraźniej stało w jednym  
miejscu,  
wysoko na niebie, jakby nie zamierzało wcale zachodzić.  
Ale nareszcie poszedł na skały w ciepłym i przyjaznym mroku. Miał ze sobą  
latarkę, dwie  
łopatki i dużo piwa.  
Trwało to długo. Belinda musiała być idealna. Najpierw dokładnie odmierzył na  
piasku sto  
sześćdziesiąt pięć centymetrów, a następnie zaczął ostrożnie kopać, wygładzać,  
uklepywać i  
kształtować. Zrobiło się prawie wpół do dwunastej, zanim skończył. Klęczał obok  
niej i  
delikatnie wodził dłońmi po jej piersiach i brzuchu. W blasku latarki wyglądała  
jak żywa.  
— Belindo — szepnął jej do ucha. — Czy mnie słyszysz, Belindo? Już teraz cię  
kocham.  
Zamierzał poczekać na plaży, aż Belinda ożyje, a on pomoże jej dojść do hotelu.

Zabrał

nawet ze sobą płaszcz kąpielowy, żeby ją nim owinąć. W końcu nie może wejść nago do

recepcji. Ale kiedy po godzinie nic się nie wydarzyło, zaczął się zastanawiać, czy to był

najlepszy pomysł. Może piasek potrafi ożywić jedynie kraby i inne małe stworzenia? A może

on zbyt dużo żąda, chcąc stworzyć żywą, oddychającą istotę ludzką?

Ciągle jeszcze siedział na piasku, kiedy usłyszał szelest czyichś stóp. Zjeżyły mu się włosy

na głowie. Kroki były coraz bliżej i zza skałki wyszedł mężczyzna w brązowych, sztruksowych spodniach.

— Ma pan moją latarkę — powiedział.

— Tam, mam. Przepraszam.

— Chciałbym ją odzyskać.

— Naturalnie.

Mężczyzna rozejrzał się po pogrążonej w ciemnościach plaży.

— A co pan tutaj robi? Chyba nie tworzy pan niczego?

— Nie, jasne, że nie.

— Nie powinien pan niczego tworzyć. Nawet pan nie wie, jakie kłopoty to może spowodować.

— Po prostu wyszedłem na spacer.

— Jeśli tylko na spacer, to dobrze.

Bryan nie miał wyboru. Odprowadził mężczyznę kawałek od miejsca, gdzie na piasku widniała postać Belindy, wziął go za kościsty łokieć i powiedział:

— Może przyłączy się pan do mnie? Zamierzałem się właśnie czegoś napić.

Mężczyzna zakaszłał, splunął i pociągnął nosem.

— Dlaczego nie?

Razem wrócili do hotelu. Wiatr przybrał na sile, pochłodziło. Bryan niespokojnie obejrzał

się za siebie. Mam nadzieję, że Belinda nie ożyje do czasu, aż zdołam pozbyć się tego

cholernego natręta. Mam nadzieję, że nie zacznie krążyć nago po okolicy, żeby mnie odnaleźć

— pomyślał.

Nie zauważył dwóch mężczyzn uprawiających jogging na pogrążonej w nocnym mroku plaży. Nawet gdyby ich spostrzegł, nie poświęciłby im chwili uwagi, mimo że ich buty

zostawiały w piasku głębokie ślady.

Musiał wypić trzy guinnessy i dużą szklankę whisky Bell, zanim pozbył się natrętnego

znajomka. Mężczyzna pokasływał, śmiał się i mówił o wiele za głośno o dawnych czasach na

Jersey i o tym, jak robił podczas okupacji różne psikusy Niemcom — przebijał opony ich

motocykli czy wsypywał im do kawy werniks, którym malował łodzie. Najwyraźniej był

dobrze znanym w okolicy nudziarzem, ponieważ hotelowi kelnerzy traktowali go lekceważąco i prawie wrogo.

W końcu odszedł chwiejnym krokiem po esplanadzie. Bryan poczekał, aż zniknie mu

z  
oczu, po czym zbiegł po schodach i ruszył plażą. Boże, niech nie będzie za  
późno. Kiedy  
dotarł pod skały, ujrzał Belindę... a raczej to, co z niej zostało.  
Biegacze przekłusowali po niej, zostawiając głębokie ślady na jej brzuchu, lewej  
piersi i na  
twarzy. Gdzież podziały się te wielkie oczy, zadarty nosek i wspaniałe, bujne  
piersi?  
Załamany i zmęczony Bryan podniósł płaszcz kąpielowy i rozgarnął nim piasek. Nie  
było  
sensu naprawiać szkód.  
Piasek stanowił zapewne materiał wystarczający do tego, by ożywiać kraby i  
pieski, ale nie  
miał dość mocy, żeby tworzyć istoty ludzkie.  
Po raz ostatni z żalem kopnął resztki piaskowej rzeźby i ruszył powoli plażą. Z  
sali  
balowej hotelu dobiegały tłumione wiatrem i szumem morza posępne dźwięki muzyki.  
Tym razem nie oglądał się za siebie.  
Wypił piwo, obejrzał na wideo połowę filmu „Trzech mężczyzn i dziecko”, rozebrał  
się i  
poszedł do łóżka. Leżąc w ciemności, myślał o mężczyźnie i stworzonym przez  
niego  
monstrualnym krabie, o terierze, którego ożywił on sam. Ciągle miał żywo w  
pamięci  
merdający, uderzający go po torsie ogon. Nie rozumiał, jak to się mogło stać, że  
stworzył go z  
piasku, a następnie zwierzę w piasek się obróciło.  
Może ten mężczyzna z plaży miał rację? Może to faktycznie były cudy?  
Zapadł w sen. Śniło mu się, że idzie samotnie brzegiem plaży. Słyszał szum morza  
z  
szelestem liżącego brzeg. Szeleściło i szurało, szeleściło i szurało. Dźwięk  
nieodparcie  
kojarzył się z szuraniem stóp kogoś, kto wlecze się hotelowym korytarzem. Ze  
stąpieniem  
kogoś, kto jest okaleczony, zdeformowany w sposób przechodzący ludzkie pojęcie.  
Otworzył oczy. Czyżby ciągle jeszcze śnił? Wydawało mu się, że coś delikatnie  
stuknęło w  
drzwi jego pokoju. Nasłuchiwał chwilę, a potem zapalił światło i wygrzebał się z  
pościeli.  
Podszedł do drzwi, wyteżył słuch. Był pewien, że słyszy dobiegający zza nich  
czyjś oddech,  
ale było to raczej zwierzęce dyszenie niż oddech człowieka. Chrapliwe i  
zduszone. Ktoś z  
niesłychanym mozołem próbował wciągać w płuca powietrze.  
I znów ciche stuknięcie z tamtej strony w drzwi.  
— Kto tam? — zapytał ochrypłym szeptem. Niewyraźny, zdławiony dźwięk. I kolejne  
uderzenie.  
— Kto tam? — ponowił pytanie głosem pełnym lęku. — Belindo, czy to ty? Belindo?